

---

Jeden z najwybitniejszych chrześcijańskich filozofów XX wieku, tomista Étienne Gilson (1884-1978), był też aktywnym publicystą. Jego komentarze do sytuacji chrześcijaństwa w laickim państwie francuskim, spisane jeszcze przed II wojną światową, w dużym stopniu dają do myślenia i dzisiaj. Poniżej prezentujemy rozdziały 21-26 z jego książki *Pour un Ordre Catholique* (część pt. *Pour une École catholique*).

---

# Szkoła wolna, czyli katolicka\*

Étienne Gilson

\* Prezentujemy rozdziały 21-26 z książki Étienne'a Gilsona *Pour un Ordre Catholique* (część pt. *Pour une École catholique*). Tytuł całości pochodzi od tłumacza.

## Szkoła chrześcijańska dla wszystkich

Jest taka katolicka czołówka, według której problem można rozwiązać w sposób najprostszy w świecie. Co zrobić ze szkołami chrześcijańskimi? Nic, zlikwidować je. Tak mi powiadał uprzejmie jeden z mych przyjaciół, dobry katolik, który mówił to w imieniu wielu innych. Spróbujmy spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia. Wykształceni w szkołach świeckich, przyjęci następnie do państwowego liceum czy kolegium, niekiedy jako stypendyści, przeszli stamtąd do jednej ze szkół wyższych bądź na uniwersytet. Znam nawet jednego, mego kolegę z liceum, który stamtąd poszedł do sulpicianów, gdy ja zapisałem się na Sorbonę. Oto zatem katolicy, czasem nawet księża, którzy zawdzięczają wykształceniu państwowemu całą formację umysłową, a których wierze to wcale nie zaszkodziło. Czym jest dla nich wolne szkolnictwo? Jak mi powiedział jeden z nich: „Nie interesują mnie dyskusje na ten temat”.

Ten stan umysłu rozumiem całkiem dobrze – i od początku go atakowałem, mówiąc, że pewni francuscy katolicy zaczynają tracić zainteresowanie dla swych szkół. Było to jednak niedopowiedzenie; należało dorzucić: wielu z nich interesuje się nimi tak mało, że gotowi by byli je zlikwidować. Znam takich, którzy już je uznali za zmarłe, i choć katolicy, godzą się z myślą o Francji, w której jedynie państwo kształtowałoby młodzież w szkole jako jej jedyny nauczyciel prawdy. Ich argumenty sprowadzają się do dwóch: nie będziecie w stanie zachować wolnych szkół, a co więcej, tak naprawdę to ich nie potrzebujecie.

Dlaczego nie będziemy mogli zachować naszych szkół? Ponieważ nie da się walczyć z konkurencją państwa. Szkoły publiczne są darmowe, szkoły wolne – płatne. Większość katolickich ojców

rodzin nie może więcej za nie płacić; oto brutalna rzeczywistość. „Jak pan sobie wyobraża”, pisze ktoś do mnie, „żeby pracownicy czy nawet klasy średnie mogły znieść tego rodzaju obciążenie?. Gdy moje dzieci pójdą do szkoły, to jeśli będzie to wolna szkoła podstawowa, czesne będzie mnie kosztować 200 do 250 franków miesięcznie, a w starszych klasach nawet więcej. Wolę nie myśleć, ile będzie kosztować szkoła średnia”. Jeśli upierać się przy utrzymaniu tych szkół, dokąd się dojdzie? Do tego, że będzie to nauczanie dla klas wyższych. „Ideałem pozostanie dla nas z pewnością dać naszym dzieciom wychowanie swoiście katolickie – ale skoro to niemożliwe? Zamierzacie dać je tym, którym nie brak majątku, a innych skazać na obecną szkołę świecką? Tu leży istota rzeczy”.

Oto dlaczego niektórzy z nas z góry kapitulują wobec nieuniknionego zniknięcia naszych szkół. „Trzeba”, pisze ktoś do mnie, „zdecydowanie zlikwidować wolne szkoły i nastawić młodych na nauczanie oficjalne”. Zamiast głodowej pensji, jak w wolnym nauczaniu, nauczyciele będą tam dobrze opłacani; oszczędzisz pieniądze wydawane na szkołę obecną, zorganizuje się za nie nauczanie uzupełniające; zrzeszenia nauczycieli katolickich mają swoje ośrodki, w których będą się na nowo hartować i uzyskiwać potrzebne wykształcenie. A wreszcie czyż nie należy wierzyć, że napływ tysięcy nauczycieli katolickich do szkół publicznych zmieni głęboko ich mentalność? Wywrą wpływ na dzieci, na rodziny, a po trochu i na cały naród. Czegóż więcej moglibyśmy sobie życzyć dla naszych dzieci, jeśli mają wybrać pracę w szkole czy choćby się w niej uczyć?

Jest w tych rozważaniach pewna słuszność, ale nie jestem pewien, czy uzasadniają one w pełni wnioski, jakie są z nich wyciągane. Wiercie mi, nie sprawia mi trudności spojrzenie na sprawę z punktu widzenia owego ojca rodziny. Wszyscy katolicy, których dzieci chodzą do wolnej szkoły, wiedzą, że to ich kosztuje – i nie trzeba wiele imaginacji, by wyobrazić sobie dzień, w którym wielu z nich nie będzie dłużej mogło dźwigać tego obciążenia. Zresztą czemu mówię o wyobrażeniu sobie? Dla milionów francuskich katolików ten dzień nadszedł dawno temu. Co dla nich zrobimy?

Po pierwsze i przede wszystkim, nie likwidujemy wolnej szkoły, jako że głód nie jest lekarstwem na niedojadanie! Z tego, że tak

liczne rodziny katolickie nie mogą swoim dzieciom zapewnić dobrodziejstwa wychowania chrześcijańskiego, nie wynika, że należy tej możliwości pozbawiać innych. Ta dotkliwa sytuacja w Kościele francuskim stanowi jednak niesprawiedliwość, której nie sposób potępić za mocno. Gdyby nauczanie chrześcijańskie stało się w naszym kraju nauczaniem dla klas wyższych, byłaby to najgorsza zniewaga dla ducha Ewangelii. Jednakowoż lekarstwo nie może polegać na tym, że nie byłoby nauczania ani wychowania chrześcijańskiego dla nikogo. Uprzywilejowanie tych, którzy mogą jeszcze z tych dóbr korzystać, nie oznacza, że mieliby ich być pozbawieni. Nakłada na nich ono przede wszystkim ścisły obowiązek korzystania z nich, a następnie dzielenia ich z braćmi, którym są one obecnie niedostępne, oraz zrobienia wszystkiego, by to, co pod wpływem sytuacji stało się ich przywilejem, zostało z powrotem tym, czym zawsze być powinno – dobrem wspólnym dostępnym bezpośrednio dla wszystkich.

Gdzie wobec tego znajdziemy lekarstwo? Jak powiedziałem: w powrocie [usuniętych przez państwo] naszych zgromadzeń nauczających i w przyznaniu ich szkołom pełnej wolności, która jest im należna na mocy samej konstytucji demokratycznego państwa, co stanowi zresztą program państwa francuskiego. Nie ma w tym żadnej trudności prawnej ani moralnej, gdyż nie żądamy, ażeby porzucono prawo, by nam pomóc, lecz żeby do niego wrócono, jako że nie należało go nigdy porzucać. Z punktu widzenia katolickiego są w tym same korzyści, gdyż te zgromadzenia zostały powołane właśnie po to, by po katolicku rozwiązać problem. Rozwiązywały go tak dobrze, że nasi przeciwnicy poszukując śmiertelnego ciosu przeciw nam, za najlepszy uznali ich zniesienie.

Gdyby Bracia Szkolni nadal byli wśród nas, mielibyśmy znakomite szkolnictwo podstawowe, w pełni katolickie, a nawet kościelne, które nie odciągałoby żadnego księdza od pracy parafialnej i nie kosztowałoby ani grosza katolickich ojców rodzin pozbawionych majątku. Byłem ich uczniem: wiem, czym było ich nauczanie, i wiem, że otrzymałem je, jak wszyscy moi koledzy, jako dar dobroczynny. Nigdy ich nie zapomniałem, ani najdroższego brata Anakleta o ciepłym uśmiechu, ani brata Antelma; ich pociągi się spotykały, nie jadąc nigdy z tą samą prędkością, dwa krany napełniały ich zbiornik, choć nigdy nie płynęło z nich tyle

samo wody. Żaden katolik, choćby nie wiem, jak biedny, nie zapytywał się wtedy, do jakiej szkoły pośle swe dzieci. Niech wróćą bracia, a z nimi siostry zakonne, niech będzie zorganizowana jednocześnie krajowa kasa szkół katolickich; nie zażądamy niczego więcej. Nie widzę innej odpowiedzi na to pytanie.

### **O wychowanie katolickie**

Czy możemy robić oszczędności na wychowaniu katolickim? Jeżeli możemy, dlaczegoż by ich nie zrobić? Nie widzę powodu do unikania tych pytań, ale by na nie odpowiedzieć, należy strzec się mieszania ich z innymi – a w szczególności z tym, czy katolicy powinni pracować w szkolnictwie państwowym.

Powiedzmy, że jakiś ojciec rodziny zastanawia się, jak to mi ktoś niedawno napisał, czy nie powinien odradzić swojemu synowi pracy w wolnym nauczaniu. Jeśli mu to rzeczywiście odradzi, można to zrozumieć. Nie każdy ma powołanie do ofiary, a byłoby naprawdę ofiarą, gdyby poradził mu inaczej. Niech ten ojciec rodziny sobie nawet powie, że pomijając kwestię dochodów, oznacza to jednego katolika więcej w szkołach publicznych, a im więcej ich będzie, tym lepiej – to jeszcze jest rozumowanie całkiem uzasadnione. Wiedzą o tym nasi przeciwnicy, a co uważają za niebezpieczne dla siebie, musi być korzystne dla nas. Działajmy więc w tym kierunku, jak już jesteśmy zaczęli, ale nie myślmy, że w ten sposób rozwiążemy problem.

Przed wszystkim nie wierzymy, że katolik wchodząc do szkolnictwa państwowego, wniesie tam ze sobą katolicyzm. Kto się poświęca wolnemu nauczaniu w szkole, kolegium czy uniwersytecie katolickim, będzie miał obowiązek i radość uczyć tam po katolicku; ta radość będzie dla niego największą pociechą wśród poniesionych ofiar. Ten na nią zasłużył, tamten zaś nie będzie jej miał, nie ma do niej prawa. Szkoła katolicka została stworzona dla nauczania katolickiego; szkoła państwowa powstała w zasadzie dla nauczania neutralnego, kto w niej pracuje, musi przestrzegać reguł gry. Powiecie, że przecież inni ich nie przestrzegają! Właśnie wy, katolicy, będziecie ich przestrzegać, gdy inni nie będą, dlatego między wami a waszymi przeciwnikami nie będzie nigdy równości stron. Mogą mówić, że w nic nie wierzą, bo to jest racjonalne, obiektywne i neutralne, ale wy nie będziecie mogli głośić w kla-

sie, że trzeba iść za nauczaniem Kościoła, bo to byłby zamach „nie do tolerowania” na sumienia dzieci i rodzin, które je wam powierzają. Nie mówię wam, że nie macie pracować w służbie państwowej, sam w niej jestem; żądam od was po prostu, by w niej pracując, nie ozdabiać się tytułem apostoła katolicyzmu – bo będziecie profesorami katolikami, a nie profesorami katolikami, a to nie to samo.

Dlaczego zatem, jeśli tak jest, nasi przeciwnicy tak złym okiem patrzą na katolików w szkolnictwie? To bardzo proste: bo każda katedra zajęta przez katolika zamknięta jest dla ateisty czy komunisty; zabieramy im narzędzia propagandy. Jest więc rzeczywiście bardzo dobrze zabrać im ich jak najwięcej; gdzie uczy nauczyciel katolik, nie dzieje się zło, a to już dużo. A nawet dzieje się dobro, przez samą jego obecność, dzięki szacunkowi i przyjaźni uzyskanym wśród uczniów, rodziców i kolegów. To wszystko bardzo dobrze, ale w końcu tysiąc nauczycieli katolików, z których żaden nie naucza błędu, zawsze należeć będzie do innego gatunku niż jeden nauczyciel katolicki, którego lekcja zaczyna się od *Ojciec nasz* i który ucząc prawdy, uczy też swych uczniów, gdzie leży Źródło prawdy.

Pozostaje więc ustalić, czy nauczanie jest konieczne. Na co odpowiadam bez wahania „tak”, mając właśnie przed oczyma dowód tej konieczności. 180 kilometrów od Paryża, we wsi bez szkoły chrześcijańskiej trzech kolejnych nauczycieli, skądinąd godnych szacunku, w czterdzieści lat całkowicie opróżniło kościół. Na około 600 mieszkańców nie ma ani jednego wieśniaka, który by zaglądał kiedykolwiek do tej wspaniałej budowli – jakby była zbudowana dla rasy już zaginionej. Kilkoro dzieci chodzi jeszcze na katechizm, ale godny podziwu ksiądz z Paryża, który się dobrowolnie poświęcił, ciałem i duszą, podniesieniu tej parafii, nie zdołał dotąd skłonić ani jednego chłopca czy dziewczynki, by wytrwali dłużej niż do pierwszej Komunii. Przez siedem lat ani jednej duszy francuskiego wieśniaka poruszonej, ani jednej pierwszej Komunii francuskiego dziecka, która by nie była ostatnią: oto bilans tego heroicznego wysiłku. Praca owych nauczycieli była rzeczywiście dobrze wykonana...

Bo to oni tego dokonali. Wystarczy ich zapytać, by to powiedzieli; a powiedzą to tak, jak to robią, bez złości. Religia jest

falszywa – czemuż nie odciągać od niej dzieci? Kościół odgrywał i nadal odgrywa złowrogą rolę w świecie – czyż nie jest zadaniem historii wydobyć takiej lekcji i wyciągnięcie wniosków, które z niej wynikają? Ci nauczyciele mają w rękach dzieci, które nigdy nie otrzymają innego wykształcenia niż to, które im dają. Jak te dzieci mogą podać w wątpliwość słowa swych nauczycieli? Czy ci nauczyciele zawahają się „uwalniając” je raz na zawsze od starych przesądów klerykalnych, które jeszcze przetrwały wokół nich? Możecie w takiej wiosce umieścić Pasteura, Calmette’a, Roux, ale zawsze nie oni, lecz nauczyciel będzie w oczach jej mieszkańców reprezentował Rozum i Naukę; ich przykład nie sprowadzi żadnego wieśniaka do kościoła. Ateizm i nienawiść do Boga, nauczane w szkole jako prawda rozumowa, zawsze zwyciężą katolicyzm, który uczyć może tylko w kościele.

Znieść szkoły chrześcijańskie, żeby nauczanie w nich nie było zarezerwowane dla klas wyższych, to wydać wszystkie dzieci na łaskę nie losu, lecz mniej od niego sprawiedliwe łaskę i niełaskę nauczycieli, którym zostaną powierzone. Dodajmy, że oznaczałoby to wysuszenie, i to w najszybszy sposób, źródła rekrutacji tych młodych katolików, których chcecie skierować do służby państwowej. Bo ja chciałbym, żebyście odbyli całą naukę w szkołach publicznych, liceach i uniwersytetach państwowych, ale żeby wam to nie przeszkodziło w pozostaniu dobrymi katolikami... – tylko gdzie uczył się twój ojciec? A przede wszystkim matka gdzie się uczyła? Do ciebie w szczególności się zwracam, drogi przyjacielu, który mi mówisz, że problem szkół chrześcijańskich pozostawia cię chłodnym. Pytam się po prostu, od jakich skromnych siostrzyczek w wiejskiej szkole na prowincji twoja matka otrzymała tę wiarę, którą ci przekazała i którą tak dobrze zachowałeś? Teraz moja kolej powiedzieć: tu leży istota problemu.

To, że ze szkół publicznych wychodzą katolicy i księża, nie jest rzeczą dziwną, a nawet pod wieloma względami pomyślną. Jak długo będą rodziny katolickie czuwające nad wychowaniem religijnym, wiara dzieci ocaleje – ale kto przygotowuje te rodziny? Bez szkół chrześcijańskich przetrwają tyle, ile Paryż bez prowincji. W ogromnej większości przypadków to nasze wolne szkoły stworzyły fundamenty domów katolickich, które teraz mniemają, że mogą się bez nich obyć. Mogą, istotnie, ale jak długo? W dniu,

w którym chrześcijańskie wychowanie domowe nie będzie się więcej żywiło szkolnym, w dniu, w którym pragnący tego rodzice nie będą już mogli zażądać od Kościoła pomocy w swoich zadaniach, do których nie zawsze czują się wystarczająco uzdolnieni – w dniu tym będziemy świadkami nie tylko stopniowego wygasania wychowania chrześcijańskiego, ale i zobaczymy, jak wychowanie świeckie zajmuje jego miejsce, a może nawet przechodzi ze szkoły do domu.

Mówię z rozmysłem: wychowanie świeckie, bo nawet jeśli nie dotyczy ono obyczajów, dotyczy umysłów. Państwo żąda, jak to wyraził Jaurès, „prawa świeckiej wspólnoty do wkraczania po to, by wpoić młodzieży prawidła rozumu”. Kosztowało nas dowiedzenie się, co to znaczy. Nie dziwny się temu, co się stanie, kiedy pozwolimy, by prawda była nauczana przez innych, podczas gdy nie będzie głoszona przez nas; nauczana przez pięć godzin dziennie w szkole, a przez nas głoszona pół godziny tygodniowo w kościele. Ta pełna jedność, która harmonizuje ludzkie poglądy z postępowaniem, a postępowanie z wiarą, wkrótce przestanie istnieć. Jak stwierdzimy bowiem, państwo francuskie nie tylko się nią nie interesuje, ale nawet dąży, popychane swoją wewnętrzną koniecznością, do walki z nią i do jej rozkładania.

### **O studiowanie prawdy katolickiej**

W dwóch ostatnich rozdziałach rozważyliśmy problem katolickiej szkoły podstawowej, który z naturalnych przyczyn interesuje najwięcej osób spośród nas. Nie należy jednak zapominać, że wychowanie katolickie istnieje dlatego, że istnieje prawda katolicka, która, jak wszelka prawda, jest przedmiotem studiów, pogłębiania, nauczania. Nawet przypuściwszy, że można by się obyć bez katolickich szkół podstawowych – na co nam wszakże nie pozwala troska o wychowanie chrześcijańskie – nie można by obyć się bez instytucji poświęconych specjalnie posuwaniu naprzód studium świętych nauk. A jako że wpływają one na wszystkie inne, rodzą też w sposób nieunikniony ogólny pogląd na świat właściwy chrześcijanom, ignorowany przez neutralne państwo (które uważa to za powód do dumy). Dlatego potrzebujemy nie tylko wychowania chrześcijańskiego, ale i nauki chrześcijańskiej.



Co czyni państwo poprzez osoby tych nauczycieli, którzy uczciwie przestrzegają czynionych nam obietnic? Nauczają tych dyscyplin, które uważa za potrzebne, czyniąc to dla nich samych. To wszystko. Państwo nie ma filozofii, każdy z nauczycieli będzie więc miał wolność nauczania swojej albo nawet, jak to się zdarza, redukcji swojego nauczania filozofii do pracochłonnego dowodu, że jej nie ma. Państwo nie ma już moralności, będziecie więc mieli wolność nauczania swojej, jeśli ją macie. Tak samo będzie z historią. Ponadto nikt nie będzie się troszczył, czy to, czego uczy jeden nauczyciel jakiegoś przedmiotu, zgadza się bądź nie zgadza z tym, czego uczy inny nauczyciel innego przedmiotu. To właśnie zwane jest rządami wolności. Nie omawiam tu ich zalet i niedostatków, ponieważ moglibyśmy mieć i lepsze, i gorsze; mówię po prostu, jak rzeczywiście jest pod rządami, pod którymi żyjemy: brakuje koordynacji punktów widzenia, oprócz jedności wynikłej z indywidualnych upodobań.

Kiedy to ując „każdy dla siebie i Bóg dla wszystkich”, oznacza to, że Bóg nie jest już dla nikogo ważny – a tymczasem to Bóg nadaje jedność tak nauczaniu katolickiemu, jak i wychowaniu katolickiemu. Stąd płynie wewnętrzna różnica ducha tych dwóch sposobów nauczania, która wpływa nawet na najmniejsze szczegóły ich struktury, a przynajmniej powinna na nie wpływać. Dla chrześcijanina wiara jest źródłem światła, a w świetle tym widzi całą resztę. Z punktu widzenia państwa wiara ta jest tylko osobistym uprzedzeniem, które z powodu swojej irracjonalności nie ma prawa wstępu do szkolnictwa publicznego. Dwa systemy, z których każdy ma swą logikę opartą na różnych zasadach, i wnioski, z których nie mogą być łatwo uzgodnione.

Czego wymaga nauczanie chrześcijańskie? Przede wszystkim szkolnictwa wyższego w zakresie świętych nauk i tych wszystkich, które im są pomocne. Jest to stara myśl o *Doctrina christiana*, rozwinięta po raz pierwszy przez świętego Augustyna, która pozostaje zasadą porządkującą wszelkiego nauczania chrześcijańskiego. Program tej „nauki chrześcijańskiej” w sensie jej tu nadanym musi z konieczności zmieniać się w ciągu wieków; lista umiejętności użytecznych dla chrześcijanina nie była taka sama dla świętego Tomasza co dla świętego Augustyna, dla wielkich jezuitów epoki renesansu i dla świętego Tomasza, dla nas i dla

jezuitów z renesansu. Praca nad adaptacją i rozszerzeniem musi trwać bez przerwy: wszystko, co prawdziwe i dobre, jest nasze, mówił święty Justyn. Stopniowa asymilacja tego, co jest prawdziwe i dobre w świetle wiary, oczyszczenie w świetle wiary – oto główne zadanie wyższych studiów chrześcijańskich.

Ta *Doctrina christiana* opracowana na naszych uniwersytetach ma zejść do kolegów, a poprzez nie do szkół podstawowych. Kiedy Bracia Szkolni nazwali się Braćmi Nauki Chrześcijańskiej, wybrali najpiękniejszą i najbardziej odpowiednią nazwę, ponieważ przy programach i metodach właściwych każdemu szczeblowi nauczania szkoły i kolegia katolickie nie są niczym innym, jak sposobami wprowadzenia do tej doktryny, takiej samej dla wszystkich. W naszych szkołach jest jeden i ten sam Bóg dla dziecka z pierwszej klasy i dla absolwenta filozofii. Od pierwszej książki do historii nasz uczeń będzie wiedział, co Kościół uczynił dla Francji, przypomni mu się to jeszcze, gdy opuści kolegium, by pójść na uniwersytet. Czy będzie studiował języki starożytne, czy nowożytne, nie będzie rzucony żywcem na pożarcie potworowi czyste filologii, bo człowiek nie został stworzony dla języków, ale języki dla człowieka. To, co się dla niego wyszuka w tych dziedzinach, posłuży kształtowaniu gustu, wrażliwości, osądu intelektualnego i moralnego godnego człowieka i chrześcijanina. Chrześcijański sposób bycia uczyńm, prawnikiem, lekarzem, przemysłowcem, kupcem, wszystko, czego się naucza i uczy, jest właściwym przedmiotem nauczania szkół katolickich.

Jak wobec tego można życzyć sobie, by nauczanie państwowe kiedykolwiek zastąpiło nasze? Szkoły należące do państwa zostały stworzone po to, by nas nauczyć służyć mu, nasze są po to, by nauczyć chrześcijańskiego sposobu służenia. Czy to je obchodzi, że mu służymy po chrześcijańsku, jeśli służymy mu dobrze? To, czego Bóg od nas żąda, nie ujmuje niczego z tego, czego państwo ma prawo od nas żądać. Niech w sposób wolny ustala wymagania co do kompetencji zatrudnionych w jego służbie czy pracujących pod jego nadzorem, ale niech nam pozostawi wolność przygotowania się, jak uważamy. W przeszłości czyniło to tylko w skromnej mierze i nie widać, by tego kiedykolwiek żałowało. Dlaczego nie miałyby oddać nam tej nędznej resztki wolności, której nas niesprawiedliwie pozbawiło?

Dlaczego, chociaż państwo zmierza coraz bardziej do wymagania od nas wiele więcej, niż ma prawo? Pod płaszczykiem neutralności chce faktycznie zniewolić całego człowieka. Obejmując to, co duchowe, razem z doczesnym, przypisuje sobie prawa, których nie posiada, sięgające aż do naszego sposobu myślenia, odczuwania, a nawet oddawania czci. Wiedząc, że nie uzyska nigdy tych praw, dopóki naprawdę wolne szkolnictwo będzie mu stawiało czoła, wzięło się do jego zdecydowanej likwidacji. Czy mamy pomóc w tej grze, zamykając nasze szkoły? Zamknijmy je, a pozbawi nas naszej duchowej wolności; gdy między nami a nim nie będzie szkolnictwa katolickiego, mądrość chrześcijańska będzie zamknięta w kościołach. Nasze bezbronne dzieci będą poddane temu, co państwu spodoba się ogłosić jako prawdę.

Ci z nas, którzy mają co do tego wątpliwości, niech spojrzą, co się dzieje poza naszymi granicami, niech spojrzą nawet tylko na to, co zaczyna się dziać w naszych, a szybko się doinformują. Nieoficjalne ortodoksje, które nam się narzucają, a przeciw którym buntuje się wszystko, co w uniwersytecie jest zdrowe i wielkie, dążą do zmienienia się w ortodoksję oficjalną, która będzie mogła zapanować drogą polityczną i wygnać inne. Rządy względnej tolerancji, pod którymi żyjemy, są z natury niestabilne. Każde państwo, które nie uznaje ponad sobą autorytetu duchowego, pozostaje jedynym panem poddanych. To, co zabrania im uznać je za takie, nie leży w ciałach, których jest ono panem, lecz w duszach. Te dusze, które kiedyś zostały przez Ewangelie uwolnione od Cezara, nie pozwolą mu zniewolić się na nowo. Stawką jest los wolności chrześcijańskiej: Cezar jako jedyny pan szkoły nie pozwoli nam podnieść wzroku poza mury państwa.

### **Inny król oprócz Cezara**

Zatem to wolność chrześcijańska ma uratować szkołę chrześcijańską. Co to jest wolność? To wszystko w nas, co nie należy do Cezara, ale do Boga. Mamy więc innego króla oprócz Cezara? Tak – i przez to jesteśmy wolni, bo mamy wybór tylko między tyranią Cezara i wolnością dzieci Bożych. Starożytne pogaństwo znało to totalne podporządkowanie dusz Miastu; mędrzy greccy i rzymscy odważnie walczyli przeciw niemu, ale jedynie Ewangelia nas z niego wyzwoliła. Jest rzeczą zgubną, że znowu w nie popadamy

w chwili, gdy świat zaczyna odrzucać Ewangelię. Człowiek wymyka się państwu tylko w tym, co w nim zależy od samego Boga; dlatego państwo tak rzadko kochało Boga – wie dobrze, że między jego wszechmoc a człowieka jedynie Bóg może się wmieścić jako wyzwoliciel.

Nie mogę się więc nadziwić, widząc wśród tych, którzy decydują się, by pozwolić zginać naszym szkołom, i takich, co zdają się wierzyć, że wszystko „ułoży się samo”, i jeśli tylko nie okazemy się „agresywni”, w końcu znajdzie się wyjście „przy dobrej woli z obu stron”. Oby nieba się do tego przychyliły! Chciałbym być o tym przekonany, ale nie potrafię, i zapytuję się, czy żywiący takie nadzieje nie robią sobie złudzeń co do natury kryzysu, przez który przechodzimy.

Kiedy chrześcijaństwo było głoszone, najpierw je zwalczano, potem przyjęto; następnie panowało przez długie wieki w głównych społecznościach europejskich. Gdy jego wpływ od połowy XVII wieku wydawał się zmniejszać, te społeczeństwa, które chrześcijaństwo tak cierpliwie przepracowało od środka i ukształtowało na swój wzór, w dalszym ciągu, nawet walcząc z nim, inspirowało się jego ideałem i jego zasadami. Dziś już tak nie jest. To, co czyni obecny kryzys poważnym, co go odróżnia od poprzednich, to to, że po raz pierwszy od końca ery starożytnej świat zachodni zaczyna nie tylko odrzucać wiarę chrześcijańską, lecz także odmawiać życia z intelektualnego i moralnego kapitału, jaki chrześcijaństwo dla niego zgromadziło.

Wynika stąd, że obecna sytuacja chrześcijan w świecie przypomina coraz bardziej tę pierwszych chrześcijan, którzy walczyli o swoją wiarę w imperium rzymskim, którego wszystkie siły sprzysięgły się przeciw nim. Żyjemy w społeczeństwie, którego ani dusza nie jest już chrześcijańska, ani formy zewnętrzne. Ani nasza moralność społeczna nie zgadza się z tą, którą toleruje państwo, ani nasza moralność prywatna nie zgadza się z tą, która się coraz bardziej rozpowszechnia wokół nas. Nie zawieramy małżeństw jak inni, bo nie zawarliśmy ich, kiedy państwo uważa, że zawarliśmy, a gdy one trwają, państwo jest gotowe twierdzić, że już ich nie ma. Nie żyjemy tak jak inni – bo o kraju, w którym tyle pism żyje z pornografią, w którym nagość króluje od teatrów do bud na targu, w którym przysięgli sądzący zgodnie z sumieniem co

dzień uniewinniają ze zbrodni dokonanych z najniższych pobudek, w którym wszystkie formy wyzysku w przemyśle, handlu, bankach pyszną się w biały dzień, można powiedzieć, co się chce, oprócz tego, że odpowiada ono, choćby w przybliżeniu, obrazowi społeczeństwa chrześcijańskiego. A co najgorsze, nie żyjąc jak inni, już nie myślimy jak inni.

To jest najgorsze, gdyż ze wszystkich różnic ta sięga najgłębiej. Nieład moralny nie jest przywilejem naszej epoki, zawsze istniał, nawet w średniowieczu, ale był kiedyś uważany za nieład, podczas gdy dziś awansował na ład. Nie to powinno nas uderzać, że dana rzecz miała miejsce, lecz że udaje się jej stopniowo osiągnąć legalizację. Nic temu się nie sprzeciwia; skoro państwo nie uznaje nad sobą żadnego autorytetu duchowego, nie ma innej możliwości jak przyzwolenie albo też zadekretowanie moralności obmyślonej dla swej korzyści. Obecnie państwo francuskie jest jeszcze w okresie przyzwalania; jutro przejdzie do działania i by zaradzić zbyt poważnemu nieładowi, na nowo narzuci moralność, która nie będzie nasza, lecz jego: moralność racji stanu.

Wystarczy spojrzeć na dzisiejszą Rosję lub Niemcy, by zobaczyć, dokąd to prowadzi. Jeżeli ktoś myśli, że takie rzeczy nigdy się nie zdarzą u nas, obawiam się, że jest w błędzie; jesteśmy już dość daleko na drodze prowadzącej prosto tam. Francja nie jest krajem, w którym katolicyzm sam z siebie idzie w niepamięć; nie umiera własną śmiercią, lecz jest mordowany. Żeby go zniszczyć, nie zanedbano niczego, czego by można użyć, a działania są już tak zaawansowane, że krzyk o pomoc jest uważany za akt buntu. Nie dziwny się więc, że nam radzą cierpliwość i ciszę, nasi przeciwnicy liczą na nie jako na konieczny warunek sukcesu. Być cierpliwym to przyzwyczajając się po trochu do sposobów myślenia i życia, które mają przeważać w nowym społeczeństwie, zaaklimatyzować się po trochu w nowym pogaństwie; krótko mówiąc, zrobić wszystko, co się da, by się zdechrystianizować.

Zatem przeciwnie, mówmy, póki nie jest za późno. Cezar musi wiedzieć, że mamy innego króla oprócz niego; że jeśli żąda dla siebie cudzej części, nie otrzyma jej i ryzykuje utratę swojej. Każde prześladowanie Kościoła jest jednocześnie stratą sił dla ojczyzny; nie uczyni się nieznośnym dla wielu milionów Francuzów życia po katolicku bez wystawienia na niebezpieczeństwo tej moralnej

jedności Francji, którą nawet nasi wrogowie uznają za konieczny warunek jej egzystencji. Mówienia i powtarzania im tego nie należy się obawiać, bo o ile tracilibyśmy czas, głosząc im prawa Boskie, to skoro ojczyzna ich jeszcze interesuje, może zrozumieją, gdy im powiemy, że ją wystawiają na niebezpieczeństwo.

Czego mogą się obawiać z naszej strony? Francja nie ryzykuje niczego, chroniąc w swoim łonie ludzi, którzy służąc jej ze wszystkich sił, uważają się też za obywateli innej ojczyzny, gdyż ta inna ojczyzna nie jest z tego świata, w niczym więc tamtej nie zacienia. To, co naraża na niebezpieczeństwo doczesną niepodległość i suwerenność narodów, to międzynarodówki, które je podminowują, czy to bankowe, czy klasowe; chodzi zawsze o doczesne społeczności umiejscowione we wnętrzu innych, żyjące na ich koszt i niewahające się nigdy, gdy to leży w ich interesie, z wystąpieniem przeciw nim. Całkiem inaczej jest z Kościołem katolickim, który nie jest ani narodowy, ani międzynarodowy, ale poza i ponad porządkiem narodowym. Katolik francuski nie ma innej ziemskiej ojczyzny niż Francja, należy do niej nie mniej całkowicie niż inni jego rodacy, jest gotów dla niej do takiego samego poświęcenia – ale jednocześnie podlega innemu porządkowi w Kościele. Kościół nie przeszkadza więc państwu, o ile tylko państwo nie uzurpuje sobie funkcji Kościoła; jeśli państwo zadowoli się swoimi, nie będzie miało żadnych powodów do skargi.

Są one na tyle znaczne, że może się nimi zadowolić. Zawdzięczamy Francji daleko więcej niż materialne warunki naszej egzystencji, nie tylko nasze ciało, ale i ukształtowanie ducha. Doczesne to nie tylko materialne, zawiera w sobie także kulturę, sztukę, naukę, wszystko, co wiąże się z naturalnym życiem ducha, całym naszym jestestwem – oprócz tego tajemniczego kontaktu, jaki w głębi nas zawiązuje się między naszą duszą a Bogiem.

Niech więc państwo bierze to, co do niego należy, ale niech ma też dość rozumu, by zrozumieć, że jest część chroniona, na której nie ma prawa kłaść ręki. Jest z jego strony szaleństwem zmuszać nas do wyboru między nim a Bogiem, bo wie dobrze, że nie możemy wybrać państwa. Ale my ze swej strony nie przedstawajmy żądać tej części i wymagać oddania jej w całości, i to zarówno w naszym interesie jako katolików, jak i ojczyzny, bo jeśli jej nie

otrzymamy, nie będzie w niej pokoju. Leży w elementarnym interesie Francji pozostawić nam wybór środków, przez które możemy pełniej stać się katolikami, ponieważ im bardziej nimi będziemy, tym lepiej będziemy mogli jej służyć. Oto dlaczego chcemy naszych kościołów, księży, klasztorów, uniwersytetów, kolegiów i szkół, z pełną wolnością nauczania, bez której nie mogłyby żyć, a której się im jednak uparcie odmawia.

### **Wolność wolnego szkolnictwa**

Starałem się uzasadnić potrzebę wolnego szkolnictwa katolickiego przeciwko tym spomiędzy nas, którzy mogliby ulegać pokusie poświęcenia go. Sądzę, że powinienem dorzucić, że skoro wolność bycia w pełni katolickim jest jego racją bytu, miałyby może sens wyrzec się pewnych korzyści, a nawet pewnych uprawnień, żeby mu zapewnić pełne używanie tej wolności. Wielu to kwestionuje i jest rzeczą użyteczną, że ten punkt bywa kwestionowany, gdyż nie jesteśmy już na terenie zasad, lecz dróg i środków użytych przy ich wprowadzaniu w życie. Nikt nie może chlubić się wiedzą, co w razie czego będzie najprzydatniejsze, jako że konkretne sytuacje zmieniają się nieprzerwanie.

Zgadzamy się co do prawa katolików francuskich do żądania równouprawnienia i ujednoczenia szkół, przy określonym zresztą sposobie wprowadzenia go w życie, ponieważ, o czym jeszcze nie wspominałem, daleki jestem od przeoczenia dotkliwych problemów, jakie by się przy owym wprowadzaniu go w życie pojawiły. Pozostawiając więc na boku kwestie drugorzędne, zapytuję się po prostu, czy odwołanie się do państwa nie pociągnie za sobą podporządkowania naszych szkół władzom, co byłoby równoznaczne ze zniewoleniem.

Te obawy, muszę zaznaczyć, nie są podzielane przez część z nas. „Wydaje się panu”, mówi mi ktoś, „że równouprawnienie [programowe i finansowe] raz uzyskane pozbawi nas naszego największego dobra: wolności. Skąd ta pewność, pytam. Żeby być pewnym, trzeba znać ustalenia prawne, jakie towarzyszyłyby równouprawnieniu i ujednoczeniu. Zapewnia pan, że byłyby one drakońskie. Dlaczego? Gdyby wśród katolików francuskich powstał ruch wystarczająco silny, by uzyskać ich ustanowienie, czy nie sądzi pan, że dokonałoby się ono w duchu większej otwarto-

ści, niż pan zakłada? Nie stało się ono czynnikiem szkodliwym czy kłopotliwym dla szkół chrześcijańskich w krajach, gdzie je wprowadzono. Kontrola urzędowa ich nie skłócała. Nauczanie w duchu katolickim nie przeszkadza wcale realizacji programów oficjalnych, a więc poddaniu się inspekcji państwowej”.

Zastrzeżenie jest jasne albo raczej byłoby takie bez zakończenia, które nasuwa mi pytanie, czy to samo rozumiemy przez wolność wolnego nauczania. Te linijki tłumaczą, jak mi nie mam, sens innego wyrzutu, jaki czyni mi ten sam korespondent: „Powiada pan, że wolne nauczanie nie ma innej siły oprócz swej wolności, ale nie ma dość śmiałości, by czynić z niej użytek; można by rzec, że mu ona ciąży i chciałoby ją utracić. Stwierdzenie to jest cokolwiek śmiałe i bardzo bolesne dla tych, którzy ponoszą dotkliwe ofiary dla podtrzymania czy stworzenia szkół chrześcijańskich. Wolne szkolnictwo jest zdecydowanie katolickie. Jakie fakty pozwalają panu twierdzić coś przeciwnego?”

Jakie fakty? W tym miejscu, gdybym podjął bezpośrednią krytykę ich sposobu postępowania, boleśnie dotknąłbym wielu inteligentnych i pracujących z poświęceniem wychowawców. Niemniej jednak nie ma takiej potrzeby, gdyż samo to zastrzeżenie, tak jak je sformułowano, jest już faktem dość znaczącym. Jeśli ktoś chce powiedzieć, że nasi katolicy wychowawcy są w podziw godny sposób katolicy, zaś poświęcenie, z jakim wykonują swoje obowiązki, nie ma innego źródła niż ich katolicyzm, to rozumiem się samo przez się, że się zgadzamy. Dziwi mnie natomiast, że słyszę o nauczaniu „w duchu katolickim” według programów państwowych, z poddaniem się nadzorowi państwa, jak gdyby był to normalny opis wolnego szkolnictwa katolickiego. Tu leży źródło nieporozumienia.

Wszystko bowiem zależy od wymagań, jakie się ma co do wolności. Jeśli się uważa za wolne szkolnictwo, które nie ma nawet swobody ustalania swojego programu, jeśli się uważa za wystarczająco katolickie nauki udzielane przez katolików z przedmiotów wybranych i ułożonych przez ludzi, którzy nimi nie są – wtedy mamy rzeczywiście szkolnictwo całkowicie katolickie, a pan inspektor może je spokojnie wizytować. Z jego punktu widzenia w kolegium świętego Tomasza wszystko potoczy się jak w liceum Woltera, w klasie profesora, który jeśli nawet nie jest katolikiem,



szanuje uczniów i ocenia w sposób wyważony. Nie wygląda to jednak tak gładko z punktu widzenia wizytowanego profesora ani dyrektora instytucji, w której profesor uczy. Oni też mają głos w dyskusji: czy jesteście pewni, że czują się wolni? Mam pewne powody, by w to wątpić.

Żeby się nie rozpraszać, pozwólcie państwo omówić przypadek, co do którego mam pewne doświadczenie, a mianowicie filozofię [nauczaną we Francji w szkole średniej]. Jest to, jak sądzę, dość ważny przedmiot, który angażuje w istotny sposób wolność naszych szkół. Formacja filozoficzna tych młodych katolików, którzy dochodzą do tego szczybla nauki, nie jest czymś obojętnym z punktu widzenia przyszłości katolicyzmu w naszym kraju. Tymczasem można powiedzieć bez żadnej przesady, że w dzisiejszej Francji ziele przepaść między nauczaniem filozofii zapewnianym przez państwo i odnośnymi programami przez państwo ustalonymi a tym, co filozof katolicki, niezależnie od szczegółowych poglądów w tych kwestiach, nazwałby filozofią.

Dla przyszłego profesora w kolegium katolickim ukończenie studiów filozoficznych na uniwersytecie państwowym jest z małymi wyjątkami najbardziej kompletną stratą czasu, jaką można sobie wyobrazić. Tyle jest rzeczy, którymi interesuje się państwo, a które jego wcale nie interesują; tyle rzeczy, które go pasjonują, a którym państwo nie poświęca najmniejszej uwagi! Gdy do zdania egzaminu z socjologii będzie się uczył obyczajów rozmaitych dzikich plemion, im dzikszych tym lepiej, nikt nie pomyśli o uczeniu go o moralności. Gdy się zaś go o niej uczy, połowa czasu zejdzie na badaniu, czy takowa w ogóle istnieje, a druga połowa na ustalaniu metody; po upewnieniu się, że istnieje (nie zawsze dzieje się tak) i że zna się jej metodę, okaże się poniewczasie, że nie ma już czasu na jej studiowanie. To samo będzie z metafizyką: oto młody człowiek, który przybył na uniwersytet, by ją studiować, ale studiuje na nim tylko kwestię, czy jest coś takiego; jednakowoż nie spodziewacie się chyba, żeby jakiś profesor nauczał dyscypliny, którą uważa za nieistniejącą! Zgadzam się, że historia filozofii mogłaby zastąpić uczniom nieobecną filozofię. Ale akurat dla uniwersytetu cała ta część historii filozofii, która naszego młodego człowieka mogłaby wprowadzić w światopogląd, z którym może się utożsamiać, jest tak zupełnie niegodna uwagi, że niektórzy mniemają, że

mają uzasadnione prawo do uznania jej za niebyłą. Nasz przyszły profesor nigdy więc o niej nie usłyszy.

Co wobec tego stanu rzeczy uczynić może wolne szkolnictwo? To, co czyni w Instytucie Katolickim w Paryżu, gdzie jest rzeczywiście wolne: pozwala ono państwu układać dowolnie jego programy, a swoje układa po swojemu. Dlaczego może tak czynić? Ponieważ będąc wolnym co do egzaminów, jest wolne co do programów. Ale co by się stało, jeśli miałoby pewnego dnia, choćby w części, uzgodnić swe programy z państwowymi? Jego nauczanie filozofii przestałoby być nauczaniem uniwersytetu katolickiego, by stać się swoistym kompromisem między tym, czym to nauczanie być powinno, a tym, jakie jest ono na uniwersytetach państwowych.

To, co jest prawdą odnośnie do szkolnictwa wyższego, jest nią jeszcze bardziej odnośnie do średniego. Pozostawiony samemu sobie, mający swobodę podejmowania własnych inicjatyw profesor katolicki przyznałby sporo miejsca nauczaniu metafizyki. To prawda, że figuruje ona jeszcze w oficjalnym programie, ale tej jego partii już się nie naucza i praktycznie z niej nie odpytuje. Gdyby miał wolność układania samemu swego programu, czyż nie wpisałby do niego wśród tematów fakultatywnych tekstów świętego Tomasza z Akwinu, Dunska Szkota lub świętego Augustyna? Ale nie może tego zrobić, jego wolność porusza się w granicach przepisanych przez państwo; nie on, lecz państwo ustala, jacy autorowie są filozofami, a jacy nimi nie są. Condillac jest wielkim filozofem; święty Tomasz nie jest nim, ani wielkim, ani małym – dla państwa nie jest nim w ogóle.

Jak wobec tych trudności nasz profesor wydobędzie się z opresji? Jeśli jest zręczny, jeśli znajdzie sposób zrobienia tego bez zmylenia zupełnie uczniów, będzie ich uczył bądź filozofii „wypośredkowanej”, bądź też, jeśli trzeba, dwóch filozofii: tej, którą uważa za prawdziwą, i tej, którą trzeba znać, by odpowiedzieć na pytania oczekiwane od egzaminatorów państwowych. Nie zaprzeczam, że jest to wykonalne, i chciałbym wierzyć, że wielu profesorów by sobie z tym poradziło, ale nie o to chodzi. Pytanie jest proste: czy na tym polega wolność?

Wolne szkolnictwo nie będzie miało prawdziwej wolności, jeśli nie będzie wolne zarówno co do programów, ich zawartości,

ducha, w jakim te programy będą wykładane, jak również co do egzaminów i stopni, które je sankcjonują. Tej wolności nie mamy; ale na ile możemy ją osiągnąć, jest dla nas cenniejsza niż cała reszta. Dlatego tak się obawiam ujrzeć utratę jej nędznych resztek ze względu na materialne korzyści, za które, obawiam się, każą nam bardzo drogo zapłacić.

### **Plan szkolnej akcji katolickiej**

Pora na podsumowanie. Nie dlatego, że uważam, iż wyczerpałem stojącą przed nami kwestię szkoły, lecz dlatego, że boję się wyczerpać cierpliwość czytelników. Chodziło zresztą, przypominam, tylko o postawienie problemu, a ponadto o zaproszenie zainteresowanych do dyskusji między sobą w nadziei dojścia do konkretnych rozwiązań. Takie są zatem, jak mi się wydaje, główne punkty zasługujące na naszą uwagę.

Jeśli chcemy uniknąć tego, by szkolnictwo katolickie stało się szkolnictwem dla klas wyższych, jest rzeczą pilną zorganizować krajową kasę szkół chrześcijańskich i uzyskać powrót zgromadzeń nauczających, które same mogą rozwiązać problem w sposób całkowity. Do grup akcji katolickiej należy stworzenie ruchu opinii publicznej, bo tylko on może doprowadzić to takiego unormowania. Są one kompetentne w sprawie wyboru sposobów działania, wydaje mi się jednak konieczne, by wszyscy katolicy francuscy stanęli w tej sprawie zdecydowanie za swoimi biskupami, dając do zrozumienia, że dla dobra kraju konieczny jest pokojowy traktat między Francją a Watykanem, którego pierwszym warunkiem będzie powrót zgromadzeń nauczających i pełna wolność w sprawie szkół.

Oprócz problemu nauczania dla wszystkich napotkaliśmy też problem jakości nauczania. Mówiłem o tym w sposób, który może się wydać ostry; da się na tym zyskać przynajmniej tyle, że spojrzawszy zło w twarz, możemy szukać środków zaradczych. Główny z nich jest prosty: polega na tym, że wszyscy odpowiedzialni za wybór profesorów powinni brać pod uwagę fakt, że o ile z punktu widzenia religijnego szkoła katolicka jest instytucją katolicką, to z punktu widzenia praktycznego jest szkołą. Szkoła zaś istnieje przede wszystkim dla uczniów. Jeśli profesorowie są zakonnikami czy księżmi, niech przełożeni wyznaczają im zada-

nia najbardziej korzystne dla postępów uczniów, a nie dla ich własnego rozwoju duchowego. Nie należy mylić porządków. Jeśli pod pretekstem zabezpieczenia profesora przed pychą każe mu się uczyć czego innego, niż umie, trzyma go w niższych klasach, gdy wiedza czyni go zdolnym do uczenia wyższych, ogranicza wpływ, jaki jego walory osobiste i inteligencja wywierają na klasę czy poza klasą, są to wszystko doświadczenia bardzo interesujące i niekiedy korzystne dla profesorów, ale płacą za nie uczniowie. Małe błędy tego rodzaju, jeśli się upowszechniają, mogą spowodować poważne zakłócenia. Jestem przekonany, że w pewnych przypadkach zwykłe przeniesienie istniejącego personelu nauczającego naszych szkół kościelnych zgodnie z zasadami elementarnego zdrowego rozsądku pedagogicznego już byłoby znacznym postępem. Wystarczy poszukać kompetencji i skierować je we właściwym kierunku, żeby zmienić stan rzeczy w niejednym punkcie.

Pracując nad wykorzystaniem kompetencji, trzeba też przygotowywać nowe na przyszłość. Główną zasadą takiej akcji powinno być, jak mi się wydaje, to, że szkoły katolickie zakładamy dla dobra dusz i triumfu Kościoła. Jeśli nasze szkoły są dobre, kraj na tym nic nie traci, ale jeśli są dobre tylko w taki sposób jak inne, nic na tym nie zyskuje Kościół, a zakładanie ich nie jest warte trudu. Stoimy więc tu przed zasadniczym problemem szkoły katolickiej: jak zorganizować szkolnictwo katolickie, którego cele są celami Kościoła, w państwie, które samo organizuje szkolnictwo, którego cele są celami państwa?

Pierwsze rozwiązanie, nader uproszczone, polegałoby na zorganizowaniu nauczania katolickiego dla katolików i porzuceniu państwowego. Uważam je za niebezpieczne z dwóch powodów: po pierwsze, taka emigracja wewnętrzna usprawiedliwi klasyczny zarzut tworzenia „dwóch Francji” i popchnęłaby nas do bezpośredniego konfliktu z doczesnym porządkiem narodowym, w którym Kościół przecież każe nam pracować; po drugie, zagrażałoby ono bezpośrednio interesowi Kościoła, ponieważ katolicy wykluczając samych siebie ze szkół przygotowujących do funkcji publicznych, wykluczaliby się zarazem z pełnienia tych funkcji. Nasza miłość ojczyzny i nasza miłość Kościoła na równi sprzeciwiają się takiej postawie; trzeba więc szukać czegoś innego.

Drugim rozwiązaniem, nie mniej uproszczonym, które jednak pozostaje na razie w sferze idealnej, byłoby uzyskać od państwa taki porządek szkolnictwa, który pozwoliłby nam służyć mu zgodnie z jego życzeniami, służąc zarazem Kościołowi w sposób nam odpowiadający. Nie uważam tego za niemożliwe, ale najpierw trzeba, byśmy sami uznali ten cel za ważny, zabrali się za przestudiowanie sprawy i podjęli zgrane działania, by go osiągnąć.

Skąd tu bierze się zło? Stąd, że państwo, oprócz uzasadnionych wymagań, jakie może mieć co do szkolnictwa, przyznaje sobie prawa, jakich nie posiada. Jest jedynym panem programów, samo wyznacza komisje, samo kontroluje egzaminy. Można by przyjąć, że w pewnej mierze ma takie prawo i taki obowiązek: ustalać, jakie ma być szkolnictwo różnych szczebli, i kontrolować jego wartość; wymaga tego interes państwa, a my mamy interes w tym, by się ono tym zajmowało. Natomiast nie można znieść tego, że organizując tę użyteczną służbę publiczną, jaką jest szkolnictwo różnych szczebli, państwo rości sobie pretensje do używania tego szkolnictwa do rządzenia naszymi myślami i do ich kontrolowania. Z pewnej strony to uroszczenie jest śmieszne, ale jego praktyczne następstwa są groźne, wystawiając na niebezpieczeństwo moralną jedność kraju.

Jako Francuzi co do czego się zgadzamy? Co do tego, że nasze doczesne interesy ustępują wobec ojczyzny. To wszystko, a zarazem dość, by scementować nierozzerwalną przyjaźń między wszystkimi Francuzami. Państwo powinno się tym zadowolić. Jeśli rości sobie oprócz tego pretensję do zarządzania naszymi dobrami duchowymi, spóźnia się o dwadzieścia wieków i próbuje narzucić nam niewolnictwo, od którego ludzkość może się słusznie uważać za już uwolnioną. Jeżeli narzuca je tym spośród nas, którzy go pragną, to pół biedy; trudno się dziwić, że nie mając już Boga, niektórzy oczekują wszystkiego od Cezara, nawet swojego chleba duchowego. Jeśli jednak narzuca on go i nam, którzy żywimy się innym, jest to nieznośny ucisk. Czyni to jednak, siebie ośmieszając, a nas wystawiając na niebezpieczeństwo.

Państwo ma swobodę decydowania, że nikt nie zostanie przyjęty na jego uniwersytet bez zdania egzaminu z filozofii; albo nawet że nikt nie może nauczać w szkole podstawowej bez poddania się tego rodzaju sprawdzianowi. Pojmuję, że wymaga nauczania

historii Francji i Europy; godzę się z tym, że wymaga studium pewnej liczby autorów starożytnych czy współczesnych dla poznania języka. Jest jednak zupełnie groteskowe, że mówi, jakiej filozofii trzeba uczyć, jaka historia jest oficjalna, jakich autorów trzeba czytać przy nauce tego języka. Państwo chce, bym się uczył filozofii – bardzo chętnie! Ale jeśli wolę studiować świętego Tomasza niż Kanta, co mu do tego? Moralność dzikich jest dla niego czołowym składnikiem kształcenia młodzieży – niech mu będzie! Czy widzi poważną wadę w tym, że ja ją odkładam na półki muzeum etnograficznego i do wychowania moich dzieci wolę moralność Arystotelesa? Historia Kościoła w świecie jest dla mnie przedmiotem o znaczeniu podstawowym; dzięki niej nauczę te dzieci historii katolicyzmu we Francji i pokażę im, jaką rolę powinny odgrywać w swoim kraju – gdy chodzi o całe ich życie, czyż nie mam prawa im o tym mówić? Jeśli wolę nauczyć je francuskiego na świętym Franciszku Salezycznym raczej niż na Wolterze; wprowadzić je do języka Newmana (i do tego, co on w Anglii reprezentuje) równocześnie z Galsworthym; jeśli mam chęć dać im do przełożenia świętego Augustyna obok Seneki i świętego Bazylego obok Tukidydesa – co na tym doprawdy może stracić Francja, zapytuję; bez trudu bowiem dostrzegam, co może na tym zyskać.

Nie należy zatem zastanawiać się tylko nad sposobem uzyskania dla naszych szkół pieniędzy, ale i wolności programów usankcjonowanej wolnością egzaminów, co pozwoli nam uczynić z nich szkoły naprawdę katolickie. Wtedy zrobimy dla nich dużo, także dla ich przeżycia. Nie jest to utopia. Samo państwo sankcjonuje najróżniejsze typy studiów przez te same dyplomy: maturę, magisterium, doktorat, czasem i inne. Niech nam więc pozwoli przedłożyć programy równoważne swoim, a jeśli uzna je za takie, niech nas egzaminuje według tych programów przed komisjami, w których ma swych przedstawicieli. Oto fair play, nie żądamy niczego więcej, ani niesprawiedliwości, ani przywilejów, lecz wolności i bezstronnej kontroli użytku, jaki robimy z tej wolności.

Co tymczasem moglibyśmy zrobić? W dużej mierze, niestety, szukać wybiegów, stosując programy jak najmniej źle; robią to nasi chrześcijańscy nauczyciele z całą pomysłowością i odwagą, na jaką ich stać. Lecz również przygotowywać przyszłość, używając jak najlepiej tych niewielkich cząstek wolności, jakie nam

zostawiono, by wydały jak największy plon. Nie wszystkie nasze dzieci będą pracownikami państwowymi, trzeba więc, by katolicy wspomagali i wszechstronnie popierali swe szkoły techniczne, rolnicze i handlowe, tam posyłając swoje dzieci. Niech te szkoły będą jednocześnie ośrodkami kształcenia zawodowego, wychowania moralnego i intensywnego życia religijnego; niech dostarczają społeczeństwu nie tylko pierwszorzędnym techników, ale i świeckich misjonarzy, apostołów, mężczyzn i kobiety, z którymi Chrystus wejdzie wszędzie, gdzie oni wejdą. Wtedy część problemu będzie rozwiązana bez troszczenia się o państwo. Praca nad tym trwa i żniwo zapowiada się pięknie, ale trzeba, by wszyscy francuscy katolicy wspierali te szkoły, myśląc o celu religijnym, bez którego to nauczanie stałoby się dla nas bezprzedmiotowe.

Pozostają inne szkoły; tam jeszcze zostaje wiele do zrobienia. Całe wolne nauczanie, które może funkcjonować bez profesorów z dyplomami państwowymi, musi się zapełnić profesorami z dyplomami wystawionymi przez instytuty katolickie albo przez wyższe szkoły katolickie działające pod ich nadzorem. Istniejące już instytucje mogą być lepiej skoordynowane, obsadzone i kierowane, by w swoisty sposób przygotowywały wykwalifikowanych nauczycieli do swoistej funkcji profesora chrześcijańskiego. Zgadza się, że istnieją przyczyny, które wielu naszych przyszłych nauczycieli skłaniają do zdania również egzaminów czy konkursów państwowych. Zasadniczo jednak nauczyciele pracujący w wolnym szkolnictwie katolickim powinni być przygotowani przez to szkolnictwo. Niech nasze instytuty katolickie przyznają te dyplomy, niech je postawią ponad poziomem, którym zadowolą się państwo. To nie zawsze będzie trudne, nie będzie nawet potrzebne, by w tym celu przeładowywać programy. Wystarczy, wprost przeciwnie, zamiast przyznawania dyplomów na podstawie rozległych programów, z których kandydaci prawie nic nie wiedzą, umieścić w programach mniej, ale wymagać, by kandydaci je znali. Jeśli zorganizujemy wolne szkolnictwo, które będzie miało niewątpliwą wartość, nie tylko skorzystamy z możliwości stwarzanych przez obecną sytuację, lecz również zrobimy wiele dla przygotowania lepszej przyszłości. ■

*Thum. Michał Wojciechowski*